

Rozwód w czasach zarazy

Nie pandemia rozwala małżeństwa,
lecz brak komunikacji

Rozmawia Anna Brzeska

Pandemia trwa w najlepsze. Jak to wpływa na sferę rozwodów? Jest ich teraz więcej czy może odwrotnie?

– W Chinach, gdzie pandemia trwa najdłużej, statystyki już pokazują, że liczba rozwodów wzrasta. Z mojej perspektywy również widać, że pojawia się ich znacznie więcej. Zaczynamy obserwować też rozwody koronawirusowe.

Czyli jakie?

– Miałam małżeństwo, które w marcu zamieszkało z teściową, właśnie ze względu na pandemię. Wiosną ludzie często decydowali się na taki krok, bo w ten sposób łatwiej im było pogodzić pracę z opieką nad dziećmi, gdy zamknięto szkoły – sami nie dawali sobie rady pod względem organizacyjnym. Niestety, w przypadku tego małżeństwa skutkiem zamieszkania z mamą było to, że już w maju jedno z małżonków złożyło pozew o rozwód. Nie mogli dłużej wytrzymać – spędzanie ze sobą 24 godzin na dobę okraszone obecnością teściowej wyciągnęło całą prawdę o tej relacji. Inna klientka wyznała mi, że w jej małżeństwie już wcześniej działo się źle, ale koronawirus kompletnie je dobił – pandemia po prostu pomogła im podjąć decyzję. Czasem konflikty się ślimaczą, ciągną latami, pozostają upchnięte w szafie.

A koronawirus, wspólne zamknięcie w domu, powoduje, że wychodzą na jaw rzeczy, które wcześniej nie były tak widoczne?

– Właśnie. To nie jest tak, że koronawirus rozwala małżeństwa. Jak mówi moja znajoma mediatorka, nie ma małżeństwa bez kryzysów. Tyle że dobre małżeństwo z kryzysu wychodzi wzmocnione, a złe kryzys zabija. Trudności przyspieszają jego destrukcję.

JOANNA HETMAN-KRAJEWSKA

– adwokatka i radczyni prawna w Kancelarii Prawniczej Patrimonium w Warszawie, specjalizuje się w prawie rodzinnym i prawie autorskim, absolwentka Studium Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie Stowarzyszenia Niebieska Linia.

Czyli w pandemii chętniej się rozwodzimy. Ale chyba teraz trudniej cokolwiek załatwić w sądach czy urzędach.

– Te dwa i pół miesiąca, kiedy sądy nie działały, spowodowało duże zatory, szczególnie w sądach okręgowych, które są pierwszą instancją dla spraw rozwodowych. Tam terminy nigdy nie były bliskie, ale teraz bywa jeszcze gorzej. Datę jednej z moich spraw wyznaczono na październik 2021 r. Jednak nie dotyczy to wszystkich spraw. Gdy sądy widzą, że sprawa jest ugodowa – np. bez dzieci i bez orzekania o winie – i jest szansa, że można ją ogarnąć na jednej rozprawie w 40 minut, zdarza się, że jest wciskana do wokandy nawet na godz. 8.30 rano, choć zwykle wokanda zaczyna się o 9.00. Sędziowie są rozliczani ze statystyk i z efektywności, więc pod koniec roku walka o dobry wynik jest najbardziej intensywna. Można zatem niekiedy liczyć na to, że uda się rozwieść szybko. Podczas pandemii może też być prościej, jeśli chodzi o procedury. Ubiegoroczna reforma Kodeksu postępowania cywilnego plus nowe regulacje covidowe zmodyfikowały nieco postępowanie. Może to śmiała teza, ale powiedziałabym, że koronawirus wręcz zreformował polskie sądownictwo i je usprawnił. Mamy



bowiem od kilku miesięcy taki przepis, który umożliwia wydawanie rozstrzygnięć sądowych w trybie niejawnym – poza sytuacjami, o których kodeks mówi, że wydanie orzeczenia przez sąd musi poprzedzić przeprowadzenie rozprawy.

Co to oznacza w praktyce?

– W przypadku rozwodów może to dotyczyć tylko sytuacji, gdy sąd nie musi wysłuchiwać świadków, np. gdy nie jest to rozwód z orzekaniem o winie i małżonkowie zgodnie chcą się rozwieść. Sąd wzywa wtedy strony do pisemnego zajęcia stanowiska i zapowiada rozstrzygnięcie w trybie niejawnym, bez rozprawy. Były już w Polsce takie rozwody.

Czyli możemy rozwieść się zdalnie?

– Powiedziałabym, że zaocznie. Wszystko odbywa się na piśmie.

Jest szansa, że będzie więcej takich rozwodów i pomoże to skrócić kolejki?

– W prostych przypadkach – np. bezdzietnych małżeństw, bez orzekania o winie – nie ma żadnych przeciwwskazań. Dobrze byłoby więc, by w takich sytuacjach sądy procedowały bez trwania cennego miejsca na wokandzie. Wydaje mi się jednak, że ostrożność sędziowska spowoduje, że nie będzie się tych spraw powszechnie upraszczać. Z punktu widzenia sądu jest to bowiem dość ryzykowny

tryb. Uproszczenia proceduralne zawsze mogą naruszać prawa stron.

W jaki sposób?

– Wyobraźmy sobie, że mogą zajść takie sytuacje – tak jest w systemie sądownictwa w Wielkiej Brytanii – że sąd nie doręcza świadkom czy stronom żadnych powiadomień. Rozwódnik musi zrobić to we własnym zakresie i on ponosi odpowiedzialność za to, czy świadkowie stawią się w sądzie, czy nie. Jeśli nie przyjdą, sądu to nie obchodzi, orzeczenie i tak może zostać wydane. W Polsce w przypadku nieobecności świadków sprawa spada z wokandy i wyznaczany jest następny termin. Są jednak i u nas pewne zakusy, by to zmienić. Już teraz, na skutek koronawirusowych zmian w przepisach, uproszczenia proceduralne sprawiają, że wiele kwestii, które powinny być rozpatrywane na rozprawie po wysłuchaniu stron – np. dotyczących władzy rodzicielskiej czy miejsca zamieszkania dziecka – sąd może rozpatrywać na posiedzeniu niejawnym. Ostrożni sędziowie raczej jednak nie będą korzystać z takiego trybu.

Pani książka „Rozwód czy separacja? Poradnik praktyczny” prócz licznych opisów spraw rozwodowych zawiera pogłębione wywiady m.in. z psychoterapeutą, mediatorami, seksuolożką, a nawet psychołożką dziecięcą. Co jako adwokatka chciała pani powiedzieć ludziom o rozwodach?

– Książka wyraża moje postrzeganie problemu rozwodów i mój sposób

nam, gdy nakręca nas wola zemsty. Przychodzimy więc do adwokata czy radcy prawnego i oczekujemy, że ten rozjedzie drugą stronę czołgiem po sali sądowej.

Jak rozumiem, nie jest to pożądana motywacja.

– Nie jest. Choćby dobro dzieci powinno być szczególnym powodem, by jednak starać się rozstać konstruktywnie. Dlatego bardzo ważne jest, by pełnomocnik, który widział już wiele spraw, uświadomił rozwodzącym się, jakie są konsekwencje wejścia w konfliktowy proces rozwodowy. Bo ludzie przychodzą z reguły jako debiutanci i nie wiedzą, jak to będzie, nie zdają sobie sprawy, że sąd to nie imieniny u cioci i nie musi być przyjemnie. A ja mogę zapewnić, że jeśli sprawa jest konfliktowa, zwykle robi się bardzo nieprzyjemnie. Warto poza tym wiedzieć, że taki rozwód jest jak trąd – może rozwalić cały system rodziny. I nie chodzi tylko o małżonków, ale też o szerokie grono ich bliskich.

Czyli również dzieci, rodziców współmałżonków itd.

– Oczywiście. Każda strona wystawia świadków, często rodziców czy rodzeństwo, a nawet małżonków rodzeństwa. Warto sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy pani teściowa staje na sali sądowej i opowiada o takich zdarzeniach z pani życia, o których pani nigdy nie słyszała – mam tu na myśli zarówno wierutne kłamstwa, jak i manipulacje faktami. Gdy ktoś wylewa na nas szambo, naturalną reakcją jest potrzeba odwetu. I się zaczyna.

W marcu małżeństwo zamieszkało z teściową, ze względu na pandemię. Już w maju jedno z małżonków złożyło pozew o rozwód.

pracy z klientami. Staram się zawsze podchodzić do tych spraw humanistycznie, a nie tylko prawniczo i strategicznie – choć oczywiście ludzie przychodzą do mnie przede wszystkim po pomoc prawną i ją otrzymują. Myślę jednak, że ważną rolę etyczną prawników, którzy zajmują się prawem rodzinnym, jest pomoc człowiekowi w przejściu przez ten trudny proces, a przede wszystkim w złapaniu dystansu do własnej uciążliwości w związku z konfliktem. Bo często jest tak, że ludzie przychodzą do adwokata czy do sądu z dużym cierpieniem, a sposobem na radzenie sobie z nim jest odwet. Taka jest ludzka natura – łatwiej

Bronimy się wszelkimi sposobami.

– Na przykład synowe dobrze wiedzą, jak bardzo zabolę teściową ograniczenie kontaktów z dziećmi. Te zwykle są bezwarunkowo kochane przez rodziców i dziadków i stanowią dla stron konfliktu doskonałą broń. Ceną jest oczywiście dobro tych dzieci, bo przecież ich relacje z dziadkami także są bardzo ważne. Co gorsza, w miarę upływu czasu wzajemny gniew narasta. Jest więc bardzo istotne, by ludzie to wszystko wiedzieli przed rozwodem.

Na co jeszcze chciałaby pani zwrócić uwagę czytelników, którzy być może myślą o rozwodzie?

– Na wstępnym etapie pogłębiającego się kryzysu małżeńskiego kluczową kwestią jest odpowiedź na pytanie, czy to małżeństwo jest do cięcia. Zdarza się, że ludzie zbyt pochopnie podejmują decyzję o rozstaniu. Wiele związków mogłoby funkcjonować dobrze, gdyby para nad swoimi relacjami popracowała. Najczęstszą przyczyną rozwodów wcale nie są spektakularne zdrady, dramaty, roztrwonienie majątku itd. Z reguły to zanikająca przez lata komunikacja i emocjonalna bliskość. Ludzie w natłoku trudów życia przestają mieć czas, by spokojnie porozmawiać, побыć razem, dowiedzieć się, co się dzieje u drugiej osoby. Zaczynają się ograniczać do „technicznej” wymiany informacji, jak przedsiębiorstwo zwane rodziną ma funkcjonować.

„Kup chleb”.

– Albo „Zawieź dziecko na karate”. I nagle się okazuje, że po kilkunastu latach małżeństwa jesteście współlokatorami. A gdy podstawowe dla człowieka potrzeby bliskości, akceptacji i przynależności przestają być zaspokajane w małżeństwie, często zaczynamy szukać zaspokojenia na zewnątrz. Gdy jednak pojawiają się osoby trzecie i więzi z nimi, małżeństwo staje się zbyt mało atrakcyjne, byśmy w nie dalej inwestowali.

Zdarza się, że widząc ten zanik bliskości, mówi pani ludziom: „Stop, proszę iść najpierw na terapię par”?

– Z reguły wyrażam swoje zdanie na temat stanu danego małżeństwa. Mówię np.: „Gdy pana słucham, wydaje mi się, że to jeszcze nie jest do cięcia, ale do naprawy”. Z jakiegoś powodu ci ludzie się pobrali, było między nimi

coś ważnego. Pytam więc: „Czy aby na pewno to jest już do wyrzucenia?”. Widzę, że to w nich jakoś rezonuje. Często dają też klientom kontakt do sprawdzonych psychoterapeutów czy mediatorów, bo mediacja może również służyć naprawie relacji małżeńskich i scaleniu stać. Jeśli natomiast widzę, że małżonkowie nie chcą już raczej podejmować głębszej pracy nad związkiem, kieruję ich do mediatora, który pomoże im wypracować warunki ugodowego rozwodu. Jego pomoc zwykle ogranicza się do spraw organizacyjnych, np. ustalenia wysokości alimentów czy harmonogramu kontaktów z dziećmi, ale jest jeszcze

► coś takiego jak mediacja transformacyjna. To coś pomiędzy krótkotrwałymi mediacjami a psychoterapią. Ważne jednak, by zachodził tu pewien warunek – obie strony muszą współpracować. Z drugiej strony zdarza się, że gdy choć jedna osoba zacznie pracować nad komunikacją, pozytywnie wpływa na drugą.

Zdarza się, że jest odwrotnie i widzi pani, że nic z tego nie będzie, mimo że jedno z nich chciałoby ratować związek?

– Tak, np. gdy kobiety nie zdają sobie sprawy, że doznają przemocy. Uświadamiam im to, daję kontakt do Niebieskiej Linii. Zadaję często trochę coachingowe pytania: „Czy pani ma w domu przyjaciela czy wroga?”. Albo: „Czy zdarzyło się, że mąż wykorzystał przeciwko pani jakieś

i tak powtarza jej, że ona do niczego się nie nadaje, jest beznadziejna i brzydka. I ta kobieta mu wierzy. Ale różnice między płciami zmniejszają się wraz z emancypacją kobiet, dostępem do internetu, pojawianiem się artykułów na ten temat. Lecz jest jeszcze trzeci powód zmian – większe przyzwolenie społeczne na rozstania. Kiedyś czynniki religijno-społeczne często determinowały to, że strona doświadczająca przemocy zaciskała zęby i jakoś trwała w związku. Teraz mają one mniejsze znaczenie.

Przez to, że jest większe przyzwolenie na rozwody, jest ich więcej?

– W ostatnich latach nie ma już tendencji wzrostowej. Liczba ta utrzymuje się na poziomie ok. 60 tys. rocznie. Jednak jeśli porównamy ją z okresem sprzed 15 lat, różnica jest widoczna.

Koronawirus nie prowadzi do rozpadu małżeństwa, ale trudności przyspieszają destrukcję związku.

informacje z pani przeszłości lub z przeszłości pani rodziny?”, „Czy jeśli zdarza się jakaś trudna sytuacja, może pani liczyć na pomoc męża?”. Niestety, bardzo często po stronie stosującej przemoc nie widać refleksji i woli zmiany postępowania. Takie układy są zdecydowanie do cięcia.

Czy z rozwojem dostępu do informacji, mediów społecznościowych, wiedzy na temat prawa i tego, co jest przemocą, widać większą świadomość co do tego zjawiska?

– Myślę, że jest zmiana na plus. Wynika choćby z zauważenia tego problemu przez system. Mamy ustawę o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie i organizacje społeczne, które tym się zajmują, np. Stowarzyszenie Niebieska Linia. Dzięki prowadzonym przez nie szkoleniom zmienia się też podejście policjantów, pracowników socjalnych i sędziów. Zmniejsza się także ekonomiczna nierównowaga między kobietami a mężczyznami, przez co ci drudzy tracą możliwość wykorzystywania swojej przewagi. Wiadomo bowiem, że jeśli mężczyzna jest jedynym pracującym członkiem rodziny, a kobieta zostaje w domu i rodzi kolejne dzieci, on ma większą siłę ekonomiczno-społeczną i przewagę organizacyjną. Bywa jednak, że tej przewagi ekonomicznej wcale nie ma, bo kobieta pracuje i nie zarabia gorzej od męża, a facet

Patrząc z perspektywy kobiet doświadczających przemocy, uważam, że to dobrze.

– Zgadza się, ale uważam, że niektórzy ludzie ze zbyt dużą łatwością podejmują decyzję o rozstaniu, nie starając się pracować nad małżeństwem. Bardzo martwi mnie i to, że wchodząc po rozwodzie w nowy rozdział życia, zostajemy przy starych schematach – tych samych, które doprowadziły do rozpadu wcześniejszego związku. Tymczasem rozwód od rozwoju dzieli tylko jedna literka. Rozstanie i związane z nim cierpienie może być trampoliną do rozwoju.

W książce czytelnicy znajdą też hasła „Złap dystans, czyli rozwód na weselo”. Dowiedzą się z nich, dlaczego „jeśli się rozwodzić, to tylko z panem Wieśkiem”. Nie bała się pani, że ktoś uzna, iż trywializuje pani problem rozwodów?

– Uważam, że łapanie dystansu do rozwodu jest bardzo potrzebne. Jeśli ktoś doświadcza w małżeństwie i podczas rozwodu czegoś trudnego i tak się „ucapi” tego cierpienia, tkwi ono w nim potem bardzo długo. Ludzie potrafią przez dziesięciolecia rozważać, dlaczego ktoś ich zostawił. Trwają w tej krzywdzie i właściwie tylko w niej dobrze się czują. Niektórzy dzięki temu odczuwają wyższość moralną nad byłym partnerem, często też już nigdy nie układają sobie życia.

Jątrzące się i ciągnące w nieskończoność rozwody to również efekt takiego podejścia. Ludzie nie potrafią w zdrowy sposób zamknąć pewnego rozdziału, tylko wloką to przez pięć czy więcej lat. A potem przez kolejne pięć lat trwa podział majątku – i to jest kontynuacja niszczącego procesu żywienia się własną krzywdą.

Znam kobiety, które po rozwodzie rozkwitły. Ojciec zabiera dzieci na weekend, a one chodzą na randki, koncerty, znajdują sobie pasje.

– Staram się to uświadomić kobietom, bo one często nie mogą sobie wyobrazić, że dziecko zostanie na weekend u ojca. Martwią się, co to będzie, skoro on nie umie zrobić dziecku jajecznicy. Kobiety często nie potrafią odpuścić. Nie dają mężczyźnie szansy, by nauczył się radzić sobie w opiece nad dziećmi.

Ale czasem to wina męża, który nie garnął się do opieki nad nimi.

– Często odpowiadają za to matki mężów, które tak ich wychowały.

Mężowie są teraz dorośli. Dlaczego ciągle winę za wszystko mają ponosić kobiety?

– To niestety problem obu płci. Jeśli my, kobiety, jesteśmy wychowywane do roli służebnej wobec mężczyzny, wciąż często w nią wchodzimy. Skrajnym przykładem jest przedstawiona w mojej książce historia rozwodowa fryzjerki, której mąż, mimo że miał dwie zdrowe rączki i dwie zdrowe nóżki, całymi dniami leżał na kanapie. Do dziecka musiała przychodzić opiekunka, bo z niewiadomego powodu nie był w stanie zająć się nawet dzieckiem. Żona harowała więc na dwa etaty – do domu jeszcze przychodziły jej klientki. Pełnomocnik męża skarżył się potem w pismach procesowych, że jego klient „nie miał w domu warunków do odpoczynku”. **Szukające.**

– Ostatnio zbulwersowała mnie też historia dziewczyny, która zachorowała na raka piersi i musiała poddać się mastektomii. Wie pani, co stwierdził mąż, zanim poszła do szpitala? „Może przy okazji odessaliby ci trochę tłuszczu z brzucha”. Trudno sobie wyobrazić, że coś takiego mogła powiedzieć osoba, która powinna być przecież kimś najbliższym. Choć pracuję już wiele lat w zawodzie, takie historie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl